

WŁADYSŁAW WYDŹGA.

Z WYCIECZKI NA KRESY

(WOJEWÓDZTWO NOWOGRÓDZKIE)

WARSZAWA — 1923

NAKŁAD CHRZ. NAROD. STRONNICTWA ROLNICZEGO
SZPITALNA № 1 (TEL. 30-54).



CN 316855

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc.nr.....
Dl 30 2012 / CM

WŁADYSŁAW WYDZGA.

Z WYCIECZKI NA KRESY

(WOJEWÓDZTWO NOWOGRÓDZKIE)

Kolekcja
Emila Kornasia

WARSZAWA — 1923
NAKLAD CHRZ. NAROD. STRONNICTWA ROLNICZEGO
SZPITALNA № 1 (TEL. 30-54).

OD DNIA 2 DO 8 WRZEŚNIA 1923 ROKU WYCIE-
CZKA CHRZEŚCIJAŃSKO-NARODOWEGO STRON-
NICTWA ROLNICZEGO W OSOBACH SENATO-
RA LEONA HR. LUBIEŃSKIEGO, POSŁA FRAN-
CISZKA WAŁASZKA, PP. WŁADYSŁAWA WYDŹGI
I BOHD. ZAWISZY, ZWIEDZIŁA WOJEWÓDZTWO
NOWOGRÓDZKIE, ŁASKAWIE INFORMOWANA
PRZEZ LOKALNE CZYNNIKI ADMINISTRACYJNE,
SPOŁECZNE ORAZ PRZEZ LUDNOŚĆ MIEJSCOWĄ

Rzekł mi pewien dygnitarz w państwie Kongresowem
tylko te cztery słowa, ale każdym słowem
ranił wciąż się krwawiącą, niezgojoną bliznę, —
rzekł z uśmiechem: „postawcie krzyżyk na Mińszczyźnie!”
Ha! Dawniej, gdy nas wspólnie siekły carskie knuty,
śpiewaliście, panowie z innej zgoła nuty, —
wtedy szumnie głosiły wasze partje wszelkie,
że my mamy na kresach posłannictwo wielkie...

Są to ustępy z wierszowanej mowy, jaką witał wycieczkę
Chrześcijańsko-Narodowego Stronnictwa Rolniczego p. Jan Oko-
łow, na obiedzie wydanym na zamku w Nieświeżu dla zaznajo-
mienia uczestników wycieczki z inteligencją nieświeską przez
księcia ordynata Alberta Radziwiłła. W zakończeniu:

. Państwo nasze młode
z lekkim sercem nam krzyżyk daje dziś w nagrodę!
Dużo mieliśmy ciosów, ale ten ostatni
był najbardziej bolesny, bo padł z ręki bratniej!

Przyznać trzeba, że wiersz ten jest nietylko wyrazem uczuć
autora, ale powszechną nutą wśród tubylczego społeczeństwa pol-
skiego. Granica, wykreślona na podstawie traktatu ryskiego,
uważana jest w tem środowisku za czwarty rozbiór Polski, a jakby
dla podkreślenia tragizmu tego porównania, granica nasza obecna
w tych stronach jest prawie identyczną z granicą drugiego roz-
bioru Rzeczypospolitej. To też wyczuwa się żal powszechny,
że bezgraniczna słabość naszej delegacji pokojowej otworzyła tu
na północnym wschodzie wśród zasłużonej, a tylekroć doświad-
czanej ludności polskiej jęczącą ranę, oraz przeświadczenie, że
fatalne skutki tej słabości dyplomatycznej zaciążą dotkliwie

w przyszłości na Polsce. Nie jest też wyrazem osobistego zawodu, czy straty ta gorycz, z jaką w innym swoim wierszu przemawia tenże p. Okołow, uchodźca z Mińszczyzny:

Czego nie mogli zdziałać Murawjewa kaci,
wyście to uczynili w Rydze... dyplomaci.

A jest wśród tych uchodźców i wiele powodów do goryczy osobistej, choć bezpośrednich skarg nie słyszeć. Tak jak milcząc przez lat dziesiątki znosili prześladowania Rosji, rękami i zębami trzymając się ziemi, od której wszystko oderwać ich chciało, przechowując w głębi duszy jako nakaz niewzruszony egzaltację Mickiewiczowskich umiłowań i uniesień, — tak i teraz z zaciśniętymi zębami pracują na objętych placówkach, i tylko czasem w opowiadaniach o synu, co zginął w obronie ziemi mińskiej — ziemi polskiej, o braciach, których wymordowali bolszewicy, o całym dobytku, o ukochanych polach, jakie tam, niekiedy tuż za miedzą pozostały, — czasem tylko w opowiadaniach o tem zadrga ból nie po stracie, ale z tego, że Polska dla tych swoich rycerzy, zmarnowanych na czołowych placówkach, tak obojętną się wydaje. W kalejdoskopie nowych ludzi, wypływających co dnia na widownię, nie myśli się o złamanych.

Niechże więc odpowiednie czynniki rządowe, bo do rządu, a nie do społeczeństwa ta rzecz należy, bo nie o jałmużnę a o uznanie tu chodzi, — niechże czynniki rządowe tak jak gdzieindziej orderami dekorują swoich zasłużonych ludzi, tak tu baczenie przysłuchać się raczą głosowi Komitetu Pomocy Uchodźców Ziemi Mińskiej, i w uznaniu niezliczonych zasług, położonych przez tych ludzi, niech wejrzą z macierzyńską pieczołowitością w ich potrzeby tak skromne, a jednak tak dalekie od zaspokojenia. Tu kilku chłopców skończyło gimnazjum i niema się za co kształcić dalej, tam kilkunastu chodzi do szkoły co drugi dzień każdy, bo mają na dwóch po parze butów, inni jeść nie mają bardzo za co, a wszystkich rodziny poginęły, a wszyscy chcą być polakami, uciekli z za kordonu. I oto takich potrzeb jeszcze trochę... nie wiele. Zaspokojenie ich, to będą te ordery, tak bardzo przez tych ludzi zasłużone, zaspokojenie tak łatwe, że mogłoby być urzeczywistnione w jednej

chwili, o ile tylko nie stanie na przeszkodzie obojętność lub bezwład biurokratyczny.

Zaopiekowanie się elementem polskim na kresach, zarówno tym, który przybył z za kordonu, jak i tamtejszym miejscowym, stanowi dla państwa interes pierwszorzędnej wagi. Żaden urzędnik, wysłany z głębi kraju, nie jest w stanie dać państwu tam na stanowisku w obecnych warunkach tego, co dla tamtejszych ludzi jest wrodzonym odruchem, odziedziczonym rysem charakteru, całą ich istotą. A jest nią ta nieustająca na chwilę czujność na wszystko, co zagrażać może polskości, to bezgraniczne oddanie sprawom żywej Polski, ani trochę nie umniejszone faktem Jej zmartwychwstania, jest nią identyfikowanie Polski z tą ich własną dzielnicą, a co za tem idzie, gotowość obrony w tej dzielnicy interesów Polski na śmierć i życie.

Przy objęździe granicy bolszewickiej uczestnicy wycieczki podejmowani byli obiadem przez pp. Czarnockich w majątku ich Lecieszynie, pow. Nieświeskiego. Po dotkliwych stratach wojennych dźwiga się ten majątek pracą właściciela i powoli powraca do normalnego stanu. A o paręset kroków od dworu, wprost okien salonu ciągnie się granica bolszewicka i kroczy tam i z powrotem żołnierz w rurykowskiej czapce na kałmuckiej głowie. A o kilkanaście kilometrów tegoż dnia do majątku Nacz, innych Czarnockich, wpadła z poza granicy banda pod dowództwem polskiego opryszka-dezertera Muchy-Michalskiego, i zmaltretowawszy właścicieli zabrała wszystkie konie, pieniądze, kosztowności. Dziś maltretują i kradną, jutro zaczną zabijać... To też z czcią i podziwem patrzy się na tych ziemian-rycerzy kresowych Rzeczypospolitej, na ten spokój przedziwny, na tę godność, z jaką pełnią straż swoją, z jaką wsiewają trud swój w swoją ziemię, niebaczni, iż im każdej chwili grozi utrata wszystkich plonów tego trudu, może razem z życiem. Czy zrozumie bezpieczny mieszkaniec wewnętrznych województw Polski, dlaczego ci ludzie nie wyzbywają się swoich posiadłości, i nie przenoszą w dalekie od granicy, niezniszczone okolice? Dlaczego taki Szalewicz w Kołdyczewie, pow. Nowogródzkiego od trzech lat mieszka w blindażu cementowym pod ziemią, aby tylko do należytego stanu doprowadzić majątek, doszczętnie spalony i poorany wzdłuż i wszerz okopami... dlaczego taki Brzozowski bieduje w swoim

ogółoconym ze wszystkiego Izabelinie, dokupując co roku jednego konia, obsiewając co roku jedno więcej pole i pieszcząc się nadzieją, że w tysiąc dziewięćset trzydziestym którymś roku, o ile nic nie stanie na przeszkodzie, będzie miał majątek w pełnym ruchul! Dlaczego ci to robią i wielu, wielu innych? Dla chleba... z przywiązania do ziemi... Tak poniekąd. Ale i z przywiązania do tego posłannictwa, jakie im tam od pokoleń przypadło w udziale, posłannictwa obrony polskości wbrew wszystkiemu, wbrew — kiedyś — zachłanności moskala, dziś wbrew, niekiedy, polityce własnego państwa.

To też nie bacząc na wszelkie demagogie, nie bacząc na wyzwolencze hasła o wyrznięciu „obszarników“, rozsiewane przez agentów niepełnoletnich, stronnictw pozbawionych równowagi, nie bacząc na lamenty sejmowe moskali poprzebieranych w białoruskie świtki, — nie bacząc na to wszystko, należy się tym rycerzom polskości natychmiastowa i wydatna pomoc rządu w ich znojnym trudzie. Należy się ta pomoc również nie jako łaska, ale jako obowiązek państwa, stokroć łatwiejszy od tego, jaki oni spełniają z dobrej woli na swoich beznadziejnością nieraz tchnących placówkach, należy się, jako mądra inwestycja znikomego waloru w bezcennych wartościach polskiej pracy i polskiej kultury na granicy Polski.

.

Rolnictwo dźwiga się naogół po wyniszczeniu wojennem zarówno u ziemian, jak i u włościan. Jedynie pas okopów niemieckich wzdłuż Serweczy i Szczary przedstawia dotychczas przejmujący obraz zniszczenia. Na szerokości kilometra pola zryte okopami we wszystkich kierunkach, poryte lejami od pocisków, tu i owdzie zabudowane pod powierzchnią cementowymi blindażami, a wszystko jak ścierń babiem latem, pokryte siecią szerniałych drutów kolczastych. Tę potężną pracę całych pułków saperskich trudno zniweczyć gołymi rękami rolnika, zwłaszcza drobnego, to też zaledwie gdzieniegdzie widnieje pasek, na którym zdarto kolące druty i jako tako zrównano okopy. Przydałoby się trochę wojska i koni na pomoc w tej pracy, znikomej ludności.

Poza pasem okopów zaczyna krajobraz odzyskiwać swój

normalny wygląd, chociaż wiele jeszcze widać łasków brzoźowych, które się wysiały na nieuprawianych od lat ośmiu polach. Zwłaszcza wśród włościańskich działek te paski zagajników stanowią rzecz niebywałą i charakterystyczną. Zapewne niektóre z tych działek utraciły w czasie wojny swoich właścicieli, na innych, jak to się zdarza i w folwarkach, właściciel pozostawia zwartą brzezinę na gorszych polach, nie rozporządzając dostateczną siłą dla dokonania karczunku i obliczając, że wobec powszechnego braku opału skutkiem dokładnego wyniszczenia lasów przez Niemców, opłaci się raczej przystąpić do karczunku za lat kilka.

W dziedzinie uprawy roli, a więc narzędzi rolniczych, nawozów sztucznych i t. p. stoi rolnictwo włościańskie na niskim jeszcze szczeblu. Spotyka się już wprowadzić gdzieś działki z łubinem przyoranym na zielono, ale spotyka się również jakieś dziwaczne narzędzia domowej konstrukcji, zastępujące pług lub bronę. Kółka rolnicze miałyby tu ogromne pole działania, szkoda tylko, że tak jak w Kongresówce istnieje tu z jednej strony Centralny Związek Kółek, z drugiej Towarzystwa Rolnicze, w rezultacie czego Towarzystwa pozbawione są pomocy rządowej, a Centralny Związek pomocy oświeconych sił ziemiańskich. Może inicjatywie województwa udałoby się zespolic działalność tych dwóch instytucji przez wyeliminowanie pierwiastków politycznych, zupełnie zbytecznych w robocie kulturalno-oświatowej.

Wielki hamulec dla podniesienia kultury rolniczej stanowią szlachownice. Wierzyć się nie chce, kiedy się słyszy, że są trzydziesto hektarowe gospodarstwa w 130-u kawałkach, i że nie-raz takie kawałki odległe są od zabudowań o parę kilometrów! Więksi gospodarze naogół pragną scalenia gruntów, mniejsi boją się utraty nielegalnych korzyści, jakie daje mnogość niestrzeżonych granic, a oficjalny obrońca ludności białoruskiej, p. poseł Roguła, agituje w języku rosyjskim przeciw komasacji, oczywiście dlatego, że władze polskie komasację propagują.

.

Jednym z najważniejszych elementów wewnętrznego umocnienia naszej granicy wschodniej, umocnienia bez którego kraj ten do Polski należeć nie będzie, jest polskie szkolnictwo. Znać w tym kierunku wysiłki zarówno ze strony społeczeństwa pol-

skiego jak i ze strony nauczycielstwa i ich władz przełożonych. W wielu wypadkach wysiłki te graniczą z zaparciem się siebie, z cichem bohaterstwem, wszystkie te porywy jednak nie dają rezultatu odpowiedniego do zatraconej energii z powodu przeszkód natury zewnętrznej, hamujących rozwój szkolnictwa. Pierwszą taką przeszkodą jest brak budynków szkolnych. Oto w powiecie Nieświeskim na 204 szkoły powszechne projektowane funkcjonuje w tym roku zaledwie 135, z nich 35 we własnych budynkach, oczywiście odziedziczonych po Rosji. Pozostałe 69 nie mogą być otwarte z powodu braku lokali, no i funduszków na ich wynajęcie. Wynajęcie izby na szkołę kosztuje tam kilkaset tysięcy marek miesięcznie, co w tamtejszych stosunkach stanowi jeszcze poważną sumę. W powiecie Słonimskim są gminy gdzie z tych samych powodów funkcjonuje kilka szkół zaledwie, w innych otwarto 40. Pozatem w szkołach istniejących brak wielu rzeczy, a więc pomocy szkolnych, niekiedy wszystkiego wogóle. W Koreliczach pow. Nowogródzkiego egzaminy wstępne odbyły się na parapetach okiennych i nauczyciel zapowiedział uczniom, że chcący się uczyć winni przynieść z sobą stołki, szkoła bowiem oprócz gołych ścian nic nie posiada. Braki te oczywiście spowodują się do braku funduszków zarówno na budowę szkół, jak i na wynajęcie remont i resztę, i tu istnieje zasadnicza niewspółmierność środków i potrzeb, wywołana ustawą z dn. 25 lutego 1923 r., określającą gruntowe pobory komunalne na 100% takiegoż podatku państwowego. Podatek państwowy na Kresach północno-wschodnich ze względu na głębę i zniszczenie obliczony jest nisko i słusznie, ale rezultatem tego jest niski podatek komunalny, w jednej czwartej części zaledwie pokrywający niezbędne wydatki. Już z pierwszego rzutu oka odnosi się wrażenie, że gospodarka komunalna nie jest należycie zorganizowana. Ilość urzędników komunalnych, przewyższająca niekiedy ilość urzędników państwowych, jest powodem rozwoju biurokracyzmu i pochłaniania znaczne sumy. Nie ulega jednak wątpliwości, że związanie końca z końcem jest niemożliwe nawet przy najdalej idących oszczędnościach. Cierpi na tem i narażone jest na wegetację szkolnictwo powszechne, ta najważniejsza podwalina państwowości polskiej na Kresach. Podniesienie skali podatków gruntowych państwowych, które pociągnęłoby za sobą analogiczne

podniesienie podatku komunalnego jest niemożliwością, groziłoby bowiem ruiną miejscowemu dźwigającemu się zaledwie rolnictwu, pozostaje więc jedno, — jaknajśpieszniejsze wydanie ustawy uznającej szkolnictwo na Kresach wschodnich za sprawę pierwszorzędną doniosłości państwowej i przeznaczającej na ten cel fundusze państwowe. Rozwiązanie tego problemu jest tembardziej palące, że po drugiej stronie granicy, na terenach zamieszkałych przez taką samą jak u nas ludność białoruską, bolszewicy, jak słysząc, budują i uposażają szkoły z przepychem. Która z tych dwóch „Białorusi“ stanowić będzie w tych warunkach siłę atrakcyjną wynioskować nietrudno, i przedsięwzięcie najenergiczniejszych środków zapobiegawczych narzuca się wprost jako konieczność państwowa.

Płonną byłaby obawa przed konkurencją bolszewicką, gdyby wszystkie szkoły powszechne wyglądać tak mogły jak ta, która się mieści w klasztorze SS. Niepokalanek w Słonimie. I tu w sprzętach, w pomocach naukowych łatanina i braki, wywołane szczupłością środków, przestronne jednak i widne sale, utrzymane z bijącą w oczy czystością, korytarze jasne, wyłożone terakotą, i harmonizująca z tym wyglądem pogoda, rozlana na twarzach Sióstr-nauczycielek i dzieci, wynagradzają tamte braki. W internacie, który Siostry prowadzą, czystość niesłychana, pomimo natłoku łóżeczek wywołanego brakiem miejsc, jedno bowiem skrzydło gmachu chyli się do upadku i zamieszkanem być nie może. Zarówno ze względu na dobroczynną działalność klasztoru, jak i na wartość cennego zabytku, należałoby, aby kompetentne władze państwowe powiększyły wydatnie środki przeznaczone na konserwację tego gmachu celem uchronienia chwiejącej się ściany oraz zaciekających bezcennych sklepień od ruiny jeszcze przed zimą.

Ciekawą jest historia ostatnich czasów tego klasztoru. Na pół zrujnowany, rozpadający się w gruzy, przeznaczony on został przez rząd rosyjski jako przytułek dla polskich Sióstr Bernardynek sprowadzonych tam z kraju na wymarcie. Gdzieś w roku 1905, kiedy dogorywały dwie ostatnie staruszki tego zakonu, zjawiły się niewiadomo skąd, dwie nowe Bernardynki... na wymarcie. A że w Rosji wszystko było można, co nie można, więc też nikt się nie dziwił i nie pytał ani gdzie dotychczas przeby-

wały te Siostry, ani dlaczego są młode, chociaż tak dawno zakon nie miał nowicjatu. Były to dwie przebrane Siostry Niepokalanki: s. Wawrzyna Szaszkiewiczówna i s. Terezita Dobrzańska. One to z niespożytą energją i umiłowaniem swego dzieła, umiejętnie administrując posiadanym przez klasztor w pobliżu mająteczkiem ziemskim, podniosły gmach klasztorny z ruiny. One za czasów wojny założyły w klasztorze szpital, one już wraz z innymi Siostrami za czasów okupacji prowadziły szkołę i one dotychczas stoją na czele dzisiejszej działalności klasztoru. Cześć bezinteresownej i radosnej pracy!

W lepszych znacznie warunkach od szkół powszechnych, choć dalekich od ideału, znajdują się szkoły państwowe: gimnazja i seminarja nauczycielskie. Nadzwyczaj dodatnie wrażenie wynosi się z koedukacyjnego gimnazjum w Nieświeżu, którego uroczyste otwarcie roku szkolnego odbyło się w dniu 3 września 1923 r. Założone w 1918 r. jako prywatne gimnazjum Macierzy Szkolnej pod kierownictwem czcigodnego profesora Massoniusa, obecnie profesora uniwersytetu w Wilnie, zostało ono upaństwowione w r. 1920 i dziś jako takie daje naukę 300 chłopcom i 200 dziewczętom pod kierunkiem niespożytej energii i umiłowania swojej pracy dyrektora ks. Grodzisa, który po podpisaniu traktatu ryskiego zmuszony był opuścić taką samą placówkę w utraconym Słucku.

Szkoły państwowe cierpią również na braki materjalne. Zwłaszcza pomoce naukowe wymagają radykalnego uzupełnienia.

Szkół białoruskich powszechnych mało. Te, które były, zanikają. Niema w tym kierunku istotnego zapotrzebowania wśród ludności. Wystąpienia z żądaniami szkoły białoruskiej są zazwyczaj tworem poszczególnych jednostek-agitatorów i podszyte są tendencjami rusofilskimi. Zresztą brak zupełny podręczników białoruskich jest rzeczą decydującą. Istnieje na terenie województwa dwa czy trzy prywatne gimnazja „białoruskie“ z językiem wykładowym rosyjskim. Trwałość tych tworów zależna jest od rozwoju polskiego szkolnictwa i zanikną one z chwilą, gdy nasze szkoły staną na wysokości swojego zadania.

Tworzenie odrębnej kultury białoruskiej nie jest zadaniem państwa polskiego. Odrębność ta, oparta dotychczas jedynie na narzeczu używanem w stosunkach domowych miejscowej

ludności i nie posiadająca żadnych innych korzeni, powstanie samodzielnie siłą wrodzonej konieczności lub nie powstanie wcale. Ponieważ to drugie rozwiązanie leży bliżej państwowego interesu Polski, przeto zadaniem Polski jest stworzenie dla białorusinów jaknajdogodniejszych warunków rozwoju i bytu w ramach kultury polskiej na wzór tego, co się stało we Francji z różnorodnymi szczepami wchodzącymi w skład kultury francuskiej. Wtedy dopiero, gdyby wysiłki i dobra wola Państwa w tym kierunku nie dały pomyślnego rezultatu stać się może aktualną sprawa współdziałania państwa w rozwoju kulturalnej odrębności białoruskiej.

Zagadnienie to uwydatnia jeszcze bardziej konieczność najwyższego wysiłku państwa w budowie szkolnictwa polskiego na Kresach.

Dotychczas dążenia białoruskie manifestują się w stanowisku poszczególnych jednostek, szukających tą drogą bądź ujścia dla swego temperamentu, bądź popularności dla kariery politycznej. Takich poszczególnych wystąpień nie można uważać za wyraz potrzeby ogółu, czekać należy na objawy oddźwięku, jaki znajdą w masach. Przeciwnie, nie należy czekać, a reagować należy bezwzględnie na agitację w rodzaju tej, jaką szerzy szesnastkowy poseł Roguła, przemawiając publicznie za niepłaceniem podatków na szkoły polskie, jaką to drogą ludność, według jego zdania, dojdzie do posiadania szkół białoruskich. Jeżeli się weźmie pod uwagę, że poseł Roguła przemawia w obronie kultury białoruskiej po rosyjsku i że w roku 1917 w Mińsku niemniej gorąco przemawiał przeciwko odrębności białoruskiej również po rosyjsku — nie trudno będzie odtworzyć sobie charakterystykę pana posła i pobudki nim kierujące. Trudno natomiast będzie zrozumieć pobłażliwość władz w stosunku do jego występów.

.

Stosunek miejscowej ludności białoruskiej do żywiołu polskiego rozpatrywać należy z dwojakiego punktu widzenia, a więc stosunek do Państwa i reprezentujących je władz oraz stosunek do ludności polskiej.

Białorusin, dobroduszny, o łagodnem wejrzeniu, cichy, stoi na bardzo niskim szczeblu cywilizacji, a co za tem idzie jest pełen nieufności. W odpowiedzi na pytanie zastania się niewiedomością. Nie wie ile posiada morgów, nie wie ile zebrał zboża. To też trudno zgłębić jego przekonania polityczne. Zdaje się podwaliną jego przekonań jest bardzo konserwatywne uczucie w stosunku do poszanowania władzy i konieczności zachowania w tym kierunku właściwej hierarchji. Na tem tle przez porównanie dzisiejszej organizacji władz polskich z rosyjską przedwojenną, rodzi się w nim wątpliwość w trwałość rządów polskich. „Kto to taki?” pytał gospodarz białoruski po przejeździe wojewody. Opowiadają mu, że to to samo, co przed wojną był gubernator. „Jaki on tam gubernator, — odpowiada z lekceważeniem, — „jak miał jechać gubernator, to na miesiąc naprzód spokoju nam nie dawali, trzeba było naprawiać drogi, porządkować wsie, stawiać mosty.... tamto był gubernator!” Chłop białoruski wierzy w silną władzę i żąda jej, bo widzi w niej rękojmię własnego swego spokoju. A pod tym względem sytuacja przedstawia bardzo wiele do życzenia. Władza jest właściwie w stanie płynnym i to nie tyle z winy miejscowych jej organów, ile z winy braku zrozumienia naszych zadań na Kresach w Warszawie, i ślepego stosowania naszych ustaw do tamtejszych warunków. Pięcioprzymiotnikowe wybory, wtłoczenie szkół powszechnych w ramy skromnego budżetu komunalnego, swoboda agitacji wszelkich żywiołów politycznych, itd. a przede wszystkim cała organizacja władzy wykonawczej na wzór województw wewnętrznych — wszystko to są pierwiastki wręcz szkodliwe dla interesu państwowego. Należy interes państwowy na Kresach wyodrębnić, ująć silnie, i konsekwentnie z punktu widzenia tego interesu życie na Kresach zorganizować. Tembardziej, że ludność miejscowa zarówno polska jak i białoruska niczego więcej nie pragnie. Trzeba władzę tam skoncentrować. Dzisiejsza niezależność agend poszczególnych ministerstw od jednej miejscowej władzy wywołuje chaos i brak tego niezbędnego jednolitego kierunku państwowego w administracji Kresów. Dzięki tej niezależności policja pograniczna jest w ciągłym konflikcie z władzami celnymi, a nieraz i z władzami województwa. Dzięki tej niezależności toleruje się biskupa prawosławnego, który jest ośrodkiem

propagandy rosyjskiej, powoduje uchwały o zależności cerkwi od patriarchyatu moskiewskiego, a wogóle prawem kaduka mieszka w Polsce, toleruje się karygodne niedbalstwo Ministerstwa Poczty i Telegrafu, dzięki któremu sieć telefoniczna na pograniczu jest fikcją. W znacznej mierze dzięki temu niedbalstwu banda Muchy-Michalskiego grasuje od dwóch lat na odcinku 9 kilometrów granicy, a zajęta w dniu 3 września rabunkiem w majątku Nacz o 30 kilometrów w głąb kraju, nie została ujętą, pomimo, że jeszcze w czasie rabunku, była możność przy normalnie funkcjonujących telefonach zaalarmować posterunki policyjne.

W ujednostajnieniu władzy i ujęciu jej w świadomy kierunku państwowego ośrodek leży zagadnienie naszej suwerenności na kresach. Dotychczasowa władza, jak powiedziano wyżej, jest płynną pomimo wszelkich niewątpliwych zalet wielu jej przedstawicieli lokalnych, a należy liczyć się z tem, że zaraz o miedzę utrwała się coraz bardziej mocna władza, stanowiąca dla ludności miejscowej, żadnej spokojnych warunków pracy, siłę atrakcyjną, w przeciwstawieniu do lekceważenia, z jakim się ta ludność odnosi do słabości władzy. Trzeba widzieć rozgoryczenie, z jakim ludność mówi o sądach, kiedy terminy w zwykłych sprawach sąsiedzkich są obecnie wyznaczane w Sądzie Okręgowym na rok 1925 lub 1926! Woleliby, zdaje się, czczewiczajkę. A „skoryj sud“, to było przecież jedną z głównych zasad sądownictwa rosyjskiego.

Zasadniczy więc stosunek ludności białoruskiej do władzy polskiej wymaga narówni z interesem państwowym jej wzmocnienia, a co za tem idzie scentralizowania, tak aby skupiała w sobie wszystkie dziedziny miejscowego życia. Stosunek zaś ludności do poszczególnych organów tej władzy kształtować się winien na życzliwości tych organów i zrozumieniu interesów ludności. I tu leży wielkie zadanie urzędników polskich na kresach, zadanie, którem, jak apostołstwem przejąć się winien każdy, kto obejmuje tam jakikolwiek urząd. Każde opryskliwe słowo urzędnika polskiego w stosunku do ludności, każde zlekceważenie jej potrzeb, sponiewieranie jej uprawnień, zaniedbanie jej korzyści, — jest równe zdradzie głównej, działa bowiem jak drzazga wbita w zrastające się ciało rdzennej Polski i kresów, działa na niekorzyść suwerenności polskiej, a na ko-

rzyść stojącej czujnie tuż za miedzą Rosji. W związku z tem dziwnem się wydaje tolerowanie na wysokich stanowiskach urzędników Rosjan, którzy, jak o tem mówią w Słonimskim, posługują się rosyjskim językiem w stosunkach ze swoimi podwładnymi, a już oczywiście robią to samo w stosunku z ludnością i niewątpliwie, co za tem idzie, nie troszczą się o rozbudzenie sympatji dla suwerenności polskiej.

Stosunek ludności białoruskiej do ludności polskiej jest naogół dobry względem dawnych tutejszych mieszkańców, a więc szlachty zaściankowej i ziemian, jest nieprzychylny względem nowoprzybyłych osadników wojskowych i kolonistów cywilnych. Chłop białoruski uważa ziemię folwarczną za pewien rodzaj współwłasności całej wsi. Przekonanie to, oparte częściowo na serwitutach, częściowo na zarobkach, jakie daje folwark, jest głęboko zakorzenione. Podarowanie lub sprzedanie kawałka ziemi poszczególnemu chłopu przez właściciela uważane jest za rzecz niepożądaną. Podział zaś ziemi przez państwo między obcych przybyszów uważają za istotną obrazę przyrodzonych praw miejscowej ludności, dopuszczając w swoim przekonaniu tylko dalszy równy przydział ziemi dla wszystkich w stosunku do posiadanej przez każdego przestrzeni. Ani życie, ani interes państwowy nie mogą oczywiście zmieścić się w prostaczycy ramach takiego poglądu. Stąd nieprzychylny stosunek do przybyszów, potęgowany nieraz nieszczęśliwym ich doborem zwłaszcza wśród osadnictwa wojskowego. O osadnictwie wojskowym panują tu dwa zdania: pesymiści twierdzą, że jest to materiał zupełnie nieodpowiedni, przynoszący raczej ujmę niż chwałę polskości, że alkoholizm uprawiają w sposób zatracający i do tego stopnia są nie wrażliwi na prawo własności, że nie szanują go nawet we wzajemnych między sobą stosunkach, Najwięksi optymiści zaś, do których należy niewątpliwie zamiłowany w swojej pracy kierownik osadnictwa w pow. Słonimskim, oponują, że tak źle nie jest, że wprowadzie alkoholizm jest plagą, że wprowadzie dużo elementów okazało się niewłaściwych, że jednak wszystko idzie ku lepszemu i ci co po oczyszczeniu szeregów pozostaną, już będą stanowili pierwiastek dodatni. Ze zdań tych wywnioskować trzeba, że daleko jesteśmy tu od ideału, który stanowić miał punkt wyjścia

ustawy o osadnictwie. Ponieważ jednak rzecz ta jest faktem dokonanym, należy wyciągnąć z niej jaknajwiększe korzyści dla Państwa. Znajdzie się w tym kierunku zadanie do spełnienia i dla władz rządowych, które kredytami i swoją interwencją winny ułatwić osadnikom, ostatecznie zakwalifikowanym, jaknajszybsze zabudowanie się i zagospodarowanie, — i dla społeczeństwa, zwłaszcza dla okolicznych ziemian, dla których pod względem kulturalnym, oświatowym i społecznym leży tu trudne może, ale wdzięczne pole do działania. Osadnicy wojskowi mają swój związek w każdej osadzie, dalej w powiecie, dalej w Województwie. Wciągnięcie tych związków w orbitę działalności Towarzystw Rolniczych i t. p. instytucji, miałoby wpływ niewątpliwie dodatni. Koloniści cywilni stanowią naogół lepszy element, są to zdrowe jednostki rolnicze, które drogą sprzedaży kilku morgów w głębi kraju stały się właścicielami kilkunastu morgów tutaj. Położenie ich jednak jest znacznie gorsze niż osadników. Nikt się nimi nie opiekuje. Pozbawieni zupełnie środków dzięki spadkowi waluty i katastrofalnie niskiej cenie zboża, walczą z coraz to większymi trudnościami, a zatrwajając pleniący się urzędowy biurokratyzm polski utrudnia doraźną pomoc kredytową i inną. W kolonji pod Kołdyczewem pow. Nowogródzkiego na dziewięć rodzin radomiaków, dwie czy trzy zaledwie będą miały ciepłe schroniska przed zimą. Inne biedować będą gdzieś pod ziemią, czy w zimnych szałasach, ale z pogodnem zapatrzeniem w cel, do którego dążą, stoją przed temi czekającemi ich doświadczeniami. W stosunku do kolonistów te same zadania jak w stosunku do osadników stoją przed rządem i społeczeństwem polskiem miejscowem. W jednym i w drugim wypadku spełnienie tych zadań leży w interesie państwa, gdyż podniesienie kultury i gospodarstwa polskich przybyszów stanowić będzie niewątpliwie i przykład dla miejscowej ludności i siłę atrakcyjną do Polski.

Sprawa scentralizowania władzy bądź w rękach wojewodów, bądź w jednym ręku na wszystkie województwa kresowe wiąże się ściśle ze sprawą bezpieczeństwa publicznego. Wysiłki uregulowania sprawy bezpieczeństwa, czynione zarówno z rządu centralnego jak i przez miejscowe władze toną w ogólnym chaosie i w nieskoordynowaniu poszczególnych czynników. Dzisiejsza

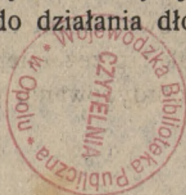
policja graniczna jest wprawdzie, pomijając jej małą liczebność, krokiem naprzód w porównaniu ze smutnej pamięci bataljonami celnymi, ani jednak zaopatrzenie tej policji, ani jej ilość, ani organizacja środków pomocniczych, jak telefony, służba łącznikowa i t. p. ani wadliwe ustosunkowanie jej do władz lokalnych, nie odpowiadają ciężkiemu zadaniu.

Trwające od dwóch lat bezkarne napady bandy Muchy-Michalskiego są jaskrawą ilustracją istniejącego stanu rzeczy. Bolesną jest rzeczą konieczność stwierdzenia, że państwo polskie nie może dać sobie rady z bandą kilkudziesięciu ludzi. Grasuje ona na odcinku dziewięciu kilometrów granicy, i składa się częściowo z mieszkańców Bolszewji, częściowo zaś z mieszkańców wsi pogranicznych na terytorjum Polski. Oddział bolszewicki zbliżając się do granicy sygnalizuje rakietami o swoim przybyciu, jest to znakiem dla mobilizacji współtowarzyszów wyprawy. Sądząc z zachowania się bandy w czasie napadów jest ona raczej organem propagandy bolszewickiej, aniżeli zwykłą organizacją bandycką. Wszędzie dokąd się zjawiają, grożą odwiedzanym ziemianom dalszemi napadami, o ile ci nie wyniosą się na zawsze i nie rozdadzą ziemi chłopom. Jednocześnie idzie planowa akcja pożarowa w rodzaju tej, jaka przed rokiem prowadzona była w Małopolsce. Od czasu napadu Muchy w Naczy (d. 3 września 1923 r.) spalono cztery majątki w powiecie Słonińskim, jeden w powiecie Nieświeskim i jeden w Baranowickim. Cały szereg właścicieli otrzymał zapowiedzi pożaru i mordu, o ile nie opuszczą na zawsze swoich majątków.

Wkraczamy w dziedzinę anarchji, której przeciwdziałaliby wszyscy na miejscu, gdyby władze centralne zdecydowały się nareszcie na świadome swojej siły zarządzenia. Jak powszechnem jest dążenie do spokoju przy jednoczesnym braku ufności w siłę i planowość władz, służyć może dowodem, że nadgraniczni włościanie oświadczają, iż współdziałaliby w demaskowaniu bandytów, gdyby nie obawiali się bezradności w tropieniu zdemaskowanych i bezkarności w razie pojmania.

Tak jak na wszystko, i na to jest rada jedynie w skupieniu władzy w silnej i uprawnionej do działania dłoni.

14 września 1923 r.

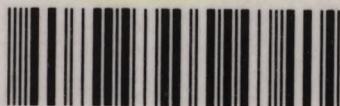


386442

26 x 28

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM 316855



000-316855-00-0